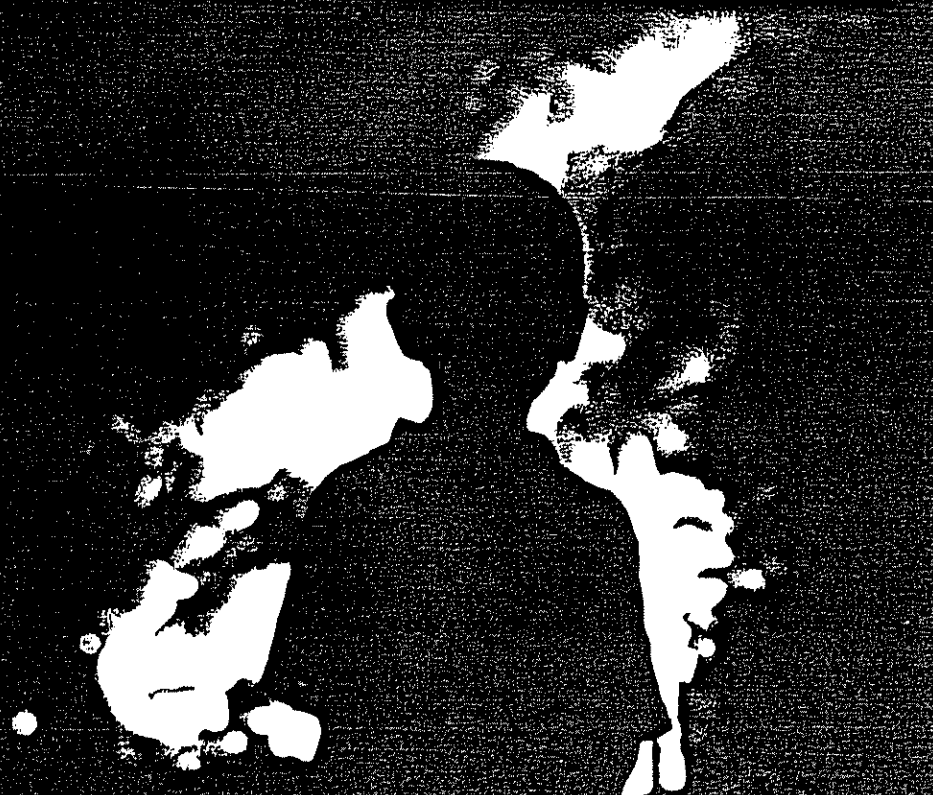


JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ KINDERSZENEN



ILOŚĆ TYGRYSÓW – POWSTANIE JAKO PROBLEM METODOLOGICZNY

Napisałem, że 13 sierpnia pod barykadę zamykającą Podwale od strony placu Zamkowego podjechały dwa ciężkie Tygrysy, eskortujące opancerzony wóz amunicyjny czy może torujące mu drogę, ale prawda jest taka, że ilość Tygrysów pozostaje nieustalona. Wszystko wskazuje też na to, że ustalić się jej nie da. Wersja wydarzeń z dwoma Tygrysami pochodzi z książki Antoniego Przygońskiego *Powstanie warszawskie w sierpniu 1944 r.* „O godzinie 13 30 na plac Zamkowy wjechały dwa działa pancerne typu Tygrys oraz lekki czołg typu Marck I; podjechał on pod samą barykadę powstańczą na Podwalu, gdzie został porzucony”. Przygoński opierał się oczywiście na jakichś powstańczych relacjach (których w tym wypadku jednak nie zacytował i nie wymienił) a także, jak mi się zdaje, na meldunkach, które tego dnia, 13 sierpnia, major „Róg” przesyłał dowódcy Grupy „Północ”, pułkownikowi „Wachnowskiemu”. Na to, że eskortę stanowiły dwa Tygrysy, wydaje się też wskazywać, choć trochę niejasno, opowieść znajdująca się w słynnej książce Stanisława Podlewskiego *Przemarsz przez piekło*. Podlewski, jak wiadomo, posługiwał się wieloma relacjami, nawet setkami relacji, ale nie ujawniał ich

autorów. W rozdziale *Czarna niedziela 13 sierpnia* pisał tak: „Z wiaduktu Pancera trzy czołgi ostrzeliwują z dział barykady i stare kamieniczki na placu Zamkowym. [...] Po z górą godzinnej kanonadzie pod osłoną ognia jeden z czołgów typu Marck I – znacznie mniejszy, ale ruchliwszy – śmiało zbliża się pod barykadę powstańczą na Podwalu i zatrzymuje się w odległości kilkunastu metrów. Nagle otwiera się kłapa wieżyczki i wyskakuje z niej czołgista w czarnym mundurze i ucieka. [...] Tygrysy odjeżdżają, jakby nie obchodził ich los owego czołgu”. O dwóch Tygrysach mowa jest też – i może to należałoby uznać za rozstrzygające – w meldunku, który wspomniany już major Stanisław Błaszczak „Róg” (dowódca Zgrupowania „Róg” broniącego Starego Miasta od strony Wisły i od południowego wschodu) o godzinie 14.00 wysłał pułkownikowi Karolowi Ziemiowskiemu „Wachnowskiemu”, donosząc mu o zdobyciu czołgu. „Godz. 13.45 butelkami spalono lekki czołg przy barykadzie Podwale. Na 2 Tygrysy w rejonie placu Zamkowego poszedł piat”. Może to i jest rozstrzygające, ale dwaj najlepsi specjaliści od walk na Starówce, pułkownik Adam Borkiewicz, autor fundamentalnej monografii *Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej*, oraz Piotr Stachiewicz, autor równie dokładnej i też świetnie napisanej, może trochę bardziej szczegółowej, książki *Starówka 1944*, mówią wyraźnie (oczywiście także opierając się na jakichś relacjach i meldunkach), że to nie były dwa Tygrysy, lecz trzy. W książce Borkiewicza Tygrysy wyjeżdżają nie, jak u Podlewskiego, od strony wiaduktu Pancera, lecz z południa, od Krakowskiego Przedmieścia. „Dopiero około godziny 18 na plac Zamkowy wyjechały od Krakowskiego Przedmieścia 3 czołgi, ostrzeliwując barykadę przy ulicy Podwale oraz sąsiednie domy. Wkrótce wycofały się; natomiast ku barykadzie podjechał

szybko mały czołg typu Marck I”. Zwracam od razu uwagę na różnice w czasie. U Borkiewicza mowa jest o godzinie 18.00, w meldunku majora „Roga” jest to godzina 13.45, u Przygońskiego godzina 13.30, zaś w *Starówce 1944* Stachiewicza trzy Tygrysy zjawiają się w nieokreślonych „godzinach południowych”. „Od strony placu Zamkowego w godzinach południowych nastąpił ponowny atak trzech czołgów, jednak strzały z piata przepędziły dwa, a jeden trafiony, ale nie unieruchomiony, pozostał. [...] W niedługim czasie Niemcy strzałem z działa ppanc rozerwali gąsienicę czołgu, eliminując tym możliwość wykorzystania go przez powstańców. W chwilę po tym w rejon barykady przy Podwalu podjechał mały czołg rozpoznawczy (Marck I), którego kierowca po pierwszych strzałach uciekł”. O trzech czołgach informuje nas też oficer operacyjny III Oddziału Sztabu Komendy Głównej AK, podpułkownik Felicjan Majorkiewicz w książce wspomnieniowej *Lata chmurne, lata dumne*. Cała ta sprawa jest tam opowiedziana trochę niewyraźnie, ale trzy czołgi są wyraźne. „Żołnierze majora „Roga”, dowódcy odcinka wschodniego [...] uszkodzili butelkami z benzyną trzy czołgi, które wycofały się, z tym, że zdobyto tankietkę typu Marck I, której załoga zbiegła”. Jak widać, z trzech Tygrysów w książce Stachiewicza trafiony został, wprzód przez powstańców, potem przez Niemców, jeden, i ten jeden, z rozerwaną gąsienicą, pozostał na placu Zamkowym, w książce Majorkiewicza uszkodzone zostały wszystkie trzy i wszystkim trzem udało się odjechać. Jeśli to były na pewno trzy Tygrysy, bo może na placu Zamkowym pojawił się wtedy tylko jeden Tygrys. I niekoniecznie Tygrys, może jakiś inny czołg. Taką właśnie wersję wydarzeń przedstawiał, opierając się na licznych relacjach, Robert Bielecki w książce „Gustaw” – „Harnaś”. *Dwa powstańcze bataliony*. Mamy tam wyjeżdżające z Nowego Zjazdu

dwa czołgi – jeden to ten mały, który niebawem eksploduje, co do drugiego zaś autor książki o dwóch batalionach nie wypowiadał się wyraźnie – uważał, że mógł to być Tygrys, ale mogła to być też (trochę mniejsza od Tygrysa) Pantera. „Nagle około godziny 11.00 posterunki obserwacyjne dały znać, że od Nowego Zjazdu zbliżają się dwa czołgi, kierując się na plac Zamkowy. Pierwszy z nich był normalnym wozem bojowym [...], drugi natomiast – o wiele mniejszy – był bez działa i karabinu maszynowego”. Jak widać, Bielecki, na podstawie dostępnych mu relacji, rozstrzygał inaczej nie tylko sprawę ilości czołgów, lecz także sprawę miejsca, w którym je dostrzeżono – jadą one w jego książce (a to znaczy w powstańczych relacjach, z których korzystał) nie, jak u Borkiewicza, „od Krakowskiego Przedmieścia”, czyli od południa, od skweru Hoovera, lecz „od Nowego Zjazdu”, czyli od wschodu, od mostu Kierbedzia. Inaczej w *Dwóch powstańczych batalionach* rozstrzygnięta jest również sprawa czasu, w którym Tygrysy pojawiły się na placu Zamkowym – nie 18.00, nie 13.30, nie w „godzinach południowych”, lecz „nagle około godziny 11.00 posterunki obserwacyjne dały znać”. Do jednego, dwóch oraz trzech Tygrysów dodajmy jeszcze – właściwie już tylko dla porządku – jakąś ich ilość nieokreśloną. Tak właśnie, w sposób nieokreślony, zostało to ujęte w książce Lucjana Fajera, kapitana „Ognistego”, który był oficerem operacyjnym batalionu „Gozdawa” (walczącego w bliskim sąsiedztwie Podwała, na Miodowej, Bielańskiej i Senatorskiej). Fajer, choć był na Kilińskiego w chwili eksplozji (został „zmięciony ze schodów” i spadł z trzeciego piętra na parter bodajże w kamienicy Kilińskiego 5), nie widział czołgów wjeżdżających na plac Zamkowy, ale opowiedział swoją, jak twierdził, ułożył na podstawie relacji „naocznych świadków”. Otóż ci „naoczni świadkowie”, którzy „od początku

obserwowali manewry czołgów na placu Zamkowym”, powiedzieli mu, że Tygrysów było kilka i że przebiły się one na Podwałe, „forsując naszą pierwszą barykadę” (czyli tę, która zamykała Podwałe przy wylocie Senatorskiej – następna barykada na Podwału, niższa, była przy wylocie Kapitulnej) i w ten sposób otwierając drogę małemu czołgowi Marck I (czy opancerzonemu wozowi amunicyjnemu), który przez wyłom w sforsowanej barykadzie mógł pojechać dalej, na skrzyżowanie Kilińskiego i Podwała. Kiedy pierwsza barykada została sforsowana, czołgi, które wykonały swoją robotę, „wycofały się na plac Zamkowy”, a potem „oddaliły się szybko na Krakowskie Przedmieście”. Co z tym wszystkim zrobić – jak pogodzić te opowieści, jakoś tak, żeby można je było składnie opowiedzieć? Czy w ogóle istnieje taka możliwość? Niemieckie Tygrysy to rzecz bardzo poważna, ale widać już, że problem, który właśnie stanął przed nami, dotyczy nie tylko poważnych Tygrysów na placu Zamkowym, lecz czegoś znacznie poważniejszego – sposobu ujmowania dziejów Powstania Warszawskiego. Pojawia się tu bowiem pytanie (i nie jest to już pytanie dotyczące eksplozji na ulicy Kilińskiego, lecz pewnego problemu, który można nazwać metodologicznym), co właściwie przyjdzie nam z tego oraz jaką będziemy mieli z tego korzyść, jeśli pewnego dnia dowiemy się – i będziemy to wiedzieli z całą pewnością – ile Tygrysów, dwa czy trzy, czy kilka, pojawiło się pod barykadą na Podwału, oraz jeśli dowiemy się, też z całą pewnością, że Tygrysy jechały od Nowego Zjazdu; lub że jechały od skweru Hoovera? A to pytanie pociąga za sobą następne – czy koniecznie musimy to wiedzieć? Czy dostęp do takiej właśnie prawdy – prawdy tak właśnie ujmowanej – jest nam koniecznie potrzebny? Jakiś uparty i pewny siebie historyk mógłby tu oczywiście powiedzieć, że on, po przeprowadzeniu swoich badań, wie

w tej sprawie z całą pewnością wszystko to, co wiedzieć należy (a razem z nim wiemy to również i my) – były to dwa Tygrysy, wyjechały z Nowego Zjazdu i jeden z nich, gdy zbliżyły się do barykady na Podwalu, został trafiony piątem, lecz zdołał odjechać (wlokąc za sobą oderwaną gąsienicę). Kto zaś twierdzi, że widział jednego Tygrysa albo trzy Tygrysy, albo dwa Tygrysy i jedną Panterę, temu coś się zdawało, albo zapomniał, albo się pomylił. Taka właśnie – może powiedzieć ten historyk – jest prawda historyczna, którą ja właśnie ustaliłem, a ponieważ prawda historyczna jest jedna i nie może być dwóch różnych prawd historycznych, które dotyczyłyby tego samego wydarzenia, tego samego kawałka historii, wszystkie inne ustalenia tracą tym samym wartość i powinny ustąpić z zajmowanego miejsca, które należy się jednej prawdzie, właśnie tej przede mną ustalonej – tej o dwóch Tygrysach. Od razu jednak widać, że nawet jeśli jakiś uparty (i wyimaginowany) historyk powie coś takiego (powie, że ustalił swoją prawdę obiektywną, wszedł w jej posiadanie), pytanie, które postawiłem przed chwilą, pozostaje w mocy – jaką będziemy mieli z tego ustalenia korzyść? Od razu też widać jeszcze coś innego. Widać mianowicie, że pytanie to dotyczy nie tylko Tygrysów oraz małego czołgu, który był przez nie eskortowany, ale także wielu innych fragmentów historii Powstania Warszawskiego, nawet całej tej historii. Gdzie spadł ten Liberator, który w nocy z 14 na 15 sierpnia został zestrzelony przez Niemców nad ulicą Miodową (prawdopodobnie już po dokonaniu zrzutu na plac Krasińskich)? Czy spadł na jezdnię i północny chodnik Miodowej, czy może spadł na dach domu zakonnego ojców pallotynów i dopiero po pewnym czasie, gdy ten dach się spalił, obsunął się, razem ze swoją spaloną załogą, na jezdnię? Są powstańcze relacje, które mówią, że spadł na dach, i są takie,

które mówią, że spadł na jezdnię. Są też i takie, które mówią, że spadł jeszcze gdzie indziej, u wylotu Miodowej na plac Krasińskich, lub jeszcze gdzie indziej, w pobliżu budynku (przedwojennego) Archiwum Akt Dawnych, niemal na rogu Długiej i placu Krasińskich. Znana jest też relacja, która mówi, że Liberator wbił się w budynek Archiwum Akt Dawnych. Znana jest też inna, która mówi, że samolot runął na dach domu na Miodowej, a jedno z jego skrzydeł upadło na chodnik. Monika Żeromska (córka Stefana) na własne oczy widziała zwłoki spalonych pilotów Liberatora leżące obok szczątków samolotu na rogu Miodowej i placu Krasińskich („Obok niego spaleni piloci, czarne ciała w resztkach mundurów”), ale ktoś inny widział, też na własne oczy, jak spalone zwłoki pilotów wydobyto z rozbitego samolotu na płonącym dachu domu zakonnego i zaraz przeniesiono je do kościoła Garnizonowego. A to działko przeciwpancerne, które ustawiono w pasażu Simonsa i które nieźle dało się tam Niemcom we znaki? Czy działko było zdobyte (niemal cudownym sposobem) w czasie walk na Stawkach, czy zostało wymontowane z tegoż Liberatora, który runął na Miodową lub gdzieś nieopodal? Są relacje, które mówią o działku przeciwpancernym ze Stawek, są też takie, które mówią o działku z Liberatora – te i te lokują działko w pasażu Simonsa. Albo między pasażem Simonsa i Arsenalem. Są również i takie, które mówią, że to nie było działko przeciwpancerne, lecz ciężki karabin maszynowy, także wymontowany z Liberatora. Do pięciopiętrowej oficyny przy ulicy Przejazd, która została wysadzona w powietrze 16 sierpnia (razem z dwoma poetami – Gajcym i Stroińskim), niemieccy lub azerscy saperzy dostali się, jak informują relacje, na trzy sposoby – weszli tam piwnicami z pałacu Mostowskich, weszli, też piwnicami, od strony barykady na Lesznie, oraz przebili się od strony muru

otaczającego getto. Są relacje, które mówią, że kiedy zakładali ładunki wybuchowe, zostali zaskoczeni w piwnicach przez powstańców z oddziału „Nałęcz” i stoczyli tam z nimi walkę (na tych właśnie relacjach opierał się Stanisław Podlewski w *Przemarszu przez piekło*), ale są też takie, które mówią, że wyszli, jak weszli, niepostrzeżenie, i nikt, do chwili wybuchu i zawalenia się oficyny, nie stwierdził ich tam obecności. To tylko kilka małych fragmentów z historii Powstania na Starym Mieście, ale podobnych relacji, dotyczących wszystkich dzielnic Warszawy (podobnie sobie przeczących, podobnie się nawzajem kasujących) są setki, nawet tysiące. Ambitny i uparty historyk da sobie oczywiście radę z takimi kasującymi się wzajemnie relacjami – zmasakruje je i w ten sposób otrzyma swoją prawdę historyczną. Problem polega tu na tym, czy warto (i czy należy) przeprowadzać taką operację – taką masakrę. Jeśli coś, co pojawia się w różnych wersjach, zostanie sprowadzone do jednej wersji – jeśli to, co nazywa się prawdą historyczną, wyjdzie na jaw, a tym samym zostaną zdezwurowane wszystkie wersje niezgodne z tą ustaloną prawdą – jeśli będzie kiedyś wiadomo ostatecznie i niezaprzeczalnie, ile Tygrysów eskortowało mały czołg Marck I do barykady na Podwału i skąd wjechał on na ulicę Kilińskiego; od strony Nowomiejskiej czy od strony Wąskiego Dunaju; jeśli będzie wiadomo, co spowodowało eksplozję przed bramą domu pod numerem 1, jaka była jej bezpośrednia przyczyna – jeśli to wszystko zostanie ustalone raz na zawsze i w sposób nie budzący wątpliwości, to pojawi się natychmiast dramatyczne pytanie (dramatyczne może nie dla fachowców od historii Powstania, ale dramatyczne dla przyszłości naszej wiedzy o Powstaniu) – jaki więc (tak brzmi to pytanie) miałby być w przyszłości los wszystkich wersji niezgodnych z ustaloną prawdą, wersji niejasnych, niepew-

nych, rozpraszających się i znów skupiających – jak dym nad powstańczymi barykadami? Czy te wszystkie wersje, po ustaleniu wersji najprawdziej prawdziwej, miałyby zostać odrzucone, pominięte, zapomniane? Takie rozstrzygnięcie byłoby nie tylko niesprawiedliwe, ale wręcz nonsensowne, wręcz bezmyślne. Prawda o Powstaniu jest bowiem we wszystkich tych wersjach. Ich treść chaotyczna, niejasna, zawikłana, gorączkowa, mroczna – to jest właśnie prawda Powstania, bowiem w tysiącach takich właśnie chaotycznych, niejasnych, zawikłanych i gorączkowych wersji ujawniało się, dawało o sobie znać, w ten właśnie sposób przedstawiało się wówczas i potem życie tych, którzy byli wtedy w Warszawie, którzy przeżyli Powstanie. Możemy ustalić, proszę bardzo, że pod barykadę podjechały dwa Tygrysy; możemy ustalić, że Liberator, który spadł na Miodową, nadleciał od strony Żoliborza (leciał nad placem Krasińskich) i możemy też ustalić, że nadleciał od strony mostu Kierbedzia (leciał tuż nad dzwonnica świętej Anny) – prawda historyczna może być w tym wypadku taka albo taka (albo jeszcze inna), ale ja uważam, że byłoby lepiej, aby istniały w każdej z tych kwestii (i w każdej kwestii podobnej) dwie prawdy, żeby Liberator leciał od świętej Anny i od Żoliborza, żeby spaleni lotnicy leżeli na rogu Miodowej i placu Krasińskich oraz na płonącym dachu domu zakonnego, albo żeby istniało w tej kwestii tyle prawd, ile istniało wtedy, dwie, trzy, jeszcze więcej – bo jeśli odrzucimy którąś z tych prawd, (jeśli uznamy, że możemy wejść w posiadanie jednej i tylko jednej prawdy), to razem z nią, tą prawdą odrzuconą, pominiętą, odrzucimy też, pominiemy, uznamy za nieważną całą prawdę powstańczego życia – a nie ma nic ważniejszego, nie ma żadnej prawdy ważniejszej od prawdy życia – która, niech i tak będzie, bowiem tak być musi, składa się z wielu półprawd,

ćwierćprawd, z kawałków różnych prawd, z ich odłamków, a także z wielu takich prawd, które wcale nie są prawdami – lub są prawdami, ale tylko w pewnym sensie. Teraz biorę oddech Powstanie Warszawskie jest niebywałym fenomenem dziejowym, a więc także niebywałym fenomenem metodologicznym – takim, jakiego uprzednio nie było w naszej historii. Coś takiego nigdy się w niej uprzednio nie pojawiło. Powstanie domaga się zatem własnej, tylko dla niego przeznaczonej metodologii badań historycznych i jego historycy muszą dla niego taką niebywałą metodologię stworzyć. Na razie, póki takiej metodologii nie mamy (i Powstanie jest opisywane przy pomocy tych samych metod, których używa się, opisując bitwę pod Grunwaldem), trzymajmy się tego, że wśród powstańczych relacji nie ma relacji lepszych i gorszych, lepiej lub gorzej przedstawiających pewien stan rzeczy, takich, które zbliżają się do jakiejś prawdy i takich, które się od jakiejś prawdy oddalają. Wszystkie relacje są – z metodologicznego punktu widzenia – równie dobre i równie prawdziwe, bowiem mówią o tym, co widzieli i co przeżyli ci, którzy je układali – czyli mówią o prawdzie ich życia, która jest prawdą Powstania. Życie ma różne strony, różne wyglądy, różne „twarze” – stronę duchową i stronę materialną, stronę historyczną i stronę wieczności, stronę estetyczną i stronę etyczną, stronę rzeczywistości i stronę wyobrażeń. To, co jest życiem, wychodzi na jaw, staje się dla nas dostępne w swojej całości tylko w tych wszystkich wyglądach, tylko poprzez te wszystkie swoje strony. Wiemy o życiu właśnie tyle, ile wiemy o jego różnych stronach, właśnie tyle, na ile potrafimy jego różne strony rozpoznać i opisać – reszta jest złudzeniem.